

*FUGA*



# FUGA

WIT SZOSTAK



**powergraph**

Warszawa 2019

Copyright © 2012-2019 by Wit Szostak  
Copyright © 2019 by Powergraph  
Copyright © 2019 for the cover by Patrycja Podkościelny  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce: Patrycja Podkościelny  
Fotografia autora: Mikołaj Starzyński  
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel.: +48 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-66178-18-2**

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA  
Printed in Poland, EU

*Nikomu*



# Fuga I





Nazywam się Bartłomiej Chochół i jestem ostatnim królem Polski. Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem. Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś. Tu spędzę resztę życia. Wspinam się mozolnie stopień za stopniem. Noga ciągle boli. Pożegnałem żonę.

Jestem ostatnim królem Polski i przez całe swoje życie godność tę pełniłem z honorem, służąc memu krajowi, jak potrafiłem najlepiej. Nie zawsze było to łatwe, gdyż obecna sytuacja nie sprzyja rządowi monarchy tak jak dawniej. Ale mimo to nie ustawałem w swych wysiłkach i nigdy nie pozwoliłem się zmarginalizować. Za swą nieustępliwość zapłaciłem wysoką cenę.

Noga ciągle boli, mimo że od zamachu minęło wiele tygodni. Nie mam za złe moim prześladowcom, gdyż swoim czynem sami siebie skrzywdzili o wiele bardziej niż mnie.

Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem, choć może powinienem nadal służyć mej Ojczyźnie. Przez ostatnie miesiące pracowałem intensywnie nad nową konstytucją, która ostatecznie ugruntowałaby władzę królewską. Tyle spraw zostało do załatwienia, tyle rad do przekazania licznym urzędnikom.

Pożegnałem żonę, królową Zofię, i wracam do mieszkania dziadków. Wspinam się mozolnie stopień za stopniem.

Noga ciągle boli, mimo że lekarze obiecywali poprawę. Ci, którzy stali za zamachem, dobrze wiedzieli, że w ten sposób pozbawią mnie wpływu na najważniejsze sprawy w państwie. Choć teraz wiem, że chcieli zabić.

Jestem ostatnim królem Polski, lecz w szpitalu dotarło do mnie, że być może nigdy nie będę mógł zejść do grobowców królewskich. A bez tego moja władza stanie się iluzoryczna.

Uświadomiłem to sobie na oddziale dla ozdrowieńców, kiedy podczas długich szpitalnych nocy usiłowałem ułożyć w głowie wszystkie elementy układanki. Wydarzenia poprzedzające wypadek nie pozostawiały cienia wątpliwości i mimo ciemności na sali przeniknąłem cały sens tego, co mnie spotkało. Na Wawelu mówiono o wypadku, ale nawet pobieżna analiza faktów musi skłonić każdego, kto chce się zaliczać do grona ludzi inteligentnych, do uznania hipotezy zamachu. Za zamachem zapewne stał spisek, który snuto za moimi plecami przez długie tygodnie, a może miesiące, starannie wyczekując odpowiedniego momentu, by uderzyć. Kimkolwiek są, wreszcie im się udało.

Noga ciągle boli, mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Stare drewniane schody skrzypią, rozeschnięte. Czuję w powietrzu ten sam zapach, który pamiętam z dzieciństwa. Mieszanina kurzu i starości, która otulała tajemnice sprzed lat.

Mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Pamiętam jak dziś, że wbiegałem po nich tyle razy, nie musząc liczyć, ile kroków jeszcze pozostało. Młode nogi przeskakiwały po dwa stopnie, w dół i w górę, zdrowe ciało nie znało ograniczeń.

Wracam do mieszkania dziadków, w którym nikogo nie było od lat.

Jestem ostatnim królem Polski i zapewne tylko z tego powodu stałem się celem tylu nikczemnych i podłych działań różnych ludzi niewielkiego formatu. Owego feralnego dnia opuściłem salę tronową ostatni. Odprawiłem współpracowników, a sam oddałem się refleksjom, których przedmiotem była Polska. Przechadzałem się po komnacie, wyglądając na pogrążający się w mroku dziedziniec. Ucichły rozmowy prowadzone za drzwiami i oddaliły się wszelkie kroki. Wawel układał się do snu. Była już noc, gdy opuściłem salę tronową, by udać się na spoczynek. W pałacu panowała ciemność. Wymacałem na ścianie kontakt, ale światło nie chciało się zapalić. Ruszyłem na pamięć, opuszkami palców dotykając ściany. Chodziłem tymi korytarzami przez tyle lat, znałem wszystkie zakręty i progi, wielokrotnie przeliczyłem wszystkie stopnie marmurowych klatek schodowych. Szedłem pewnie, ale ostrożnie, zanurzając się w ciemność. Czułem, że za chwilę dotrę do krawędzi schodów. Jednak zanim to nastąpiło, moja obuta w miękkie pantofel stopa poślizgnęła się, a ja runąłem w dół i straciłem przytomność.

Noga ciągle boli i bolała, kiedy się ocknąłem. Wokół mnie pełno było ludzi, a lekarze w białych kitlach szykowali się, by przenieść mnie na nosze. Na ostrym dyżurze okazało się, że mam złamaną lewą nogę, cały jestem poobijany, a na głowie wyrósł mi bolący, pulsujący guz.

Ktoś wyłączył prąd w pałacu. Ktoś zostawił śliskie schody. Zamachowcy dobrze wiedzieli, gdzie zastawić na mnie pułapkę. Poczekali do zmroku i zapewne w napięciu czekali, aż opuszczę salę tronową. Znali dokładnie mój rozkład dnia, wiedzieli, którędy udam się na spoczynek. Pewnie planowali to od tygodni, spiskując po wawelskich komnatach. Ci sami ludzie uśmiechali się do mnie codziennie, witali i zagadywali o zdrowie. Razem z nimi jadłem drugie śniadanie i obiad, z nimi często rozmawiałem po całym dniu swej pracy. Liczyli, że spadając ze schodów, złamię kark. Ale ja ciągle żyję.

Noga ciągle boli, a ja mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Liczę każdy krok i widzę, ile jeszcze dzieli mnie od drzwi mieszkania moich dziadków. Tu spędzę resztę życia, bo postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryć się przed ludzkim wzrokiem.

Pożegnałem żonę, królową Zofię, choć ona odeszła bez słowa.

Wracam do mieszkania dziadków, w którym nie byłem od niemal dwudziestu lat. Jakim je zastanę? Czy znajdę w nim meble, które pamiętam jasno i wyraźnie z dzieciństwa? Czy za drzwiami zobaczę tylko zakurzone przestrzenie starej pustki? Wydaje mi się, że pamiętam je jak dziś. Ale czy pamięć nie płata mi figli, podsuwając wykrzywione przez lata obrazy?

Noga ciągle boli, mimo długiej rehabilitacji. Szpital nauczył mnie, jak sobie radzić z bólem. Nie chodzi jednak o tabletki i środki znieczulające. Niech służba zdrowia zachowa je dla moich poddanych. Jestem ostatnim królem Polski i nauczyłem się żyć z bólem. To kwestia godności.

Jestem ostatnim królem Polski i podczas długiej rekonwalescencji postanowiłem, że usunę się z życia mojego Narodu. Być może ten zamach to był znak; być może powinienem był zrezygnować już wcześniej, oddając stery władzy. Może prze-gapiłem wiele sygnałów, które wysyłał mi zewsząd świat? Może powinienem był odgadnąć nastroje społeczne z twarzy ludzi, którzy przewijali się przez salę tronową, wychwycić zmiany w głosie moich współpracowników, kiedy rozmawialiśmy niezobowiązująco, patrząc na położony u naszych stóp Kraków? Najczęściej człowiek nie dostrzega tych drobnych zmian, które zachodzą w jego świecie, a są znakami, by pod-jąć ważne decyzje.

Noga ciągle boli i pogodziłem się z tym, że ten ból będzie mi towarzyszył do końca. Szpitalne łóżko jest miejscem, które uczy pokory. Ludzka bezradność, cierpienie, które otacza człowieka, to wszystko sprawia, że rzeczy stają cię czymś innym, niż nam się wcześniej wydawało. Już w karetce powiedziałem lekarzowi, zażądałem wręcz, by nie dawano mnie do izolatki, tylko położono ze zwykłymi pacjentami. Wzruszył ramionami, ale kiedy obudziłem się z narkozy po operacji, podczas której składano moją pogruchtaną upadkiem nogę, z zadowoleniem spostrzegłem, że obok mnie leżą inni współbracia w cierpieniu, prości ludzie. Nie byłem zamknięty w złotej klatce, tylko dzieliłem mój ból z rodakami. Ta solidarność w odczuwanych niedogodnościach bardzo mnie podbudowała i odtąd znosiłem moje dolegliwości z radością i wewnętrzną siłą.

Jestem ostatnim królem Polski, lecz postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem. Naród, który podnosi rękę na monarchę, nie jest godny, by mieć króla. Naród, który rodzi królobójców, choćby tak nieporadnych, sam wydaje na siebie wyrok. Ten naród, który przygotował na mnie zamach, sam zdecydował, że woli być rządzony przez ludzi małych i nikczemnych. Ukryję się przed ludzkim wzrokiem, a wtedy wszyscy zobaczą, co utracili. Zmiany będą następowały stopniowo, bo dobrze wyregulowany mechanizm nie przestaje działać z dnia na dzień. Moim rodakom będzie się żyło coraz gorzej, wszystko wokół zacznie się psuć. Będą odczuwać rosnący niepokój, którego przyczyny nie odkryją. Świat będzie się stawał coraz bardziej szary, z każdym dniem tracąc barwy. Ale sami wybrali.

Noga ciągle boli, choć lekarze obiecywali poprawę. Po dwóch miesiącach ściągnięto mi gips i rozpoczęła się żmudna rekonwalescencja. Codziennie odwiedzał mnie rehabilitant, który męczył mnie bolesnymi i żmudnymi ćwiczeniami. Znosiłem je jednak ze spokojem, gdyż wiedziałem, że za jęgo

surowymi poleceniami kryje się troska o moje zdrowie. Nam obydwu zależało przecież na tym, bym powrócił do dawnej sprawności.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę.

Jestem ostatnim królem Polski, lecz postanowiłem porzucić zaszczyty. Byłem pewien, że chcę odejść. Po zamachu nic już mnie nie trzymało na tronie. Przyjaciele zawiedli, naród zdradził. Pożegnałem żonę, królową Zofię, i nic mnie nie łączyło z tamtym światem, który żył swoimi dworskimi intrygami w wawelskich komnatach. Mogłem odejść.

Jednak nie jest łatwo monarsze zniknąć ze świata, ukryć się przed ludzkim wzrokiem. Dlatego w głowie mojej zaczął kiełkować sekretny plan, który dojrzewał podczas długich szpitalnych dni.

Noga ciągle boli, choć przecież wykonywałem wszystkie zadane ćwiczenia, nawet bez obecności rehabilitanta. Widać coś się źle zrosło i do końca życia będzie mi towarzyszył ból, przypominający o tym, że brzemię władzy nie jest lekkie.

W tym okresie zaniechałem golenia, obmyślając w najdrobniejszych szczegółach swój sekretny plan. Po kilku tygodniach tak zarosłem, że moja twarz zmieniła się nie do poznania. Już wcześniej postanowiłem nie informować innych pacjentów o swej prawdziwej tożsamości, a oni, zajęci bez reszty własnym cierpieniem, nie dostrzegli we mnie króla Polski. Dla nich byłem po prostu panem Bartkiem, i cieszyłem się z tej zażyłości. Moi współpracownicy byli na tyle dyskretni, że odwiedzając mnie, mówili szeptem i dzięki temu mogłem zachować błogosławioną anonimowość w świecie, gdzie ludzie sławni nie mają w ogóle życia prywatnego. Kiedy jednak po dwóch miesiącach od mego wypadku, który będę konsekwentnie nazywał zamachem, na naszą salę przyszedł nowy pacjent, pierwsze, co zrobiłem, to przywitałem go pytaniem: „Poznajesz mnie?”. Wpatrywał się w moją twarz przez

dłuższą chwilę, a w jego oczach widziałem zakłopotanie. Radowałem się z tego skrycie i wiedziałem, że po kilku chwilach będzie musiał odpowiedzieć, że nie. Brodaty, z długimi włosami, wychudzony przez chorobę, stałem się cieniem samego siebie. Przyjąłem to z radością.

Noga ciągle boli i mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Może powinienem był zarzucić mój plan lub odłożyć go do czasu, kiedy rekonwalescencja zakończy się ostatecznie? Teraz już za późno na takie rozważania. Wracam do mieszkania dziadków, które jest tak blisko. Zostawiłem za sobą całe moje życie i nie mam do niego powrotu.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę, chorobę egzotyczną i zarazem swojską, przyniesioną z Zachodu i zakorzenioną u nas od pokoleń.

Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem. Teraz muszę się tego trzymać. Plan był bardzo prosty. Kiedy tylko na tyle wydobrzeję, że będę mógł chodzić o własnych siłach, narzucę na piżamę swój płaszcz i w tajemnicy przed innymi opuszczę szpital. Zrobię to wieczorem, kiedy ostatni goście wracają do domów, szczęśliwi, że nie muszą spędzać nocy przy łóżkach chorych bliskich. Widziałem ich twarze pełne ulgi, kiedy wstawali z metalowych stołeczków, odprawiani przez swych krewnych. Ruszali lekko do wyjścia, wracając do swego życia, które toczyło się poza murami szpitala.

Obmyśliłem, że wymknę się wraz z nimi, chytrze wymijając personel i ochronę. Na ulicy Kopernika wmieszam się w tłum i powoli zagubię wśród krakowskich ulic. W kieszeni płaszcza miałem pęk kluczy, a wśród nich jeden do mieszkania moich dziadków, o którym nikt poza mną nie wiedział. Tam mnie nikt nie będzie szukał, tam zniknę z ludzkich oczu. Nigdy nie wrócę na Wawel, nie dam znaku życia moim współpracownikom.

Najpierw rozpoczną się poszukiwania, ale i one ustaną, nie przynosząc żadnego rezultatu. Przeszają mnie szukać, zapomną, a ja, uwolniony od dźwiganego przez lata brzemienia, dożyję swoich dni w mieszkaniu po dziadkach.

Wracam do mieszkania dziadków, ale o tym nikt nie wie, bo zgubiłem wszystkich tropiących i zatarłem wszystkie ślady. Wielokrotnie sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi, pozwalałem się mijać przechodniom, udając, że podziwiam witryny sklepów i gniazda w koronach drzew. Lata sprawowania władzy nauczyły mnie dostrzegać wszystkie śliskie metody służb specjalnych. Ominąłem więc wszystkie pułapki i wymazałem się z ludzkiego życia. Rozpłynąłem się w krakowskim powietrzu: szary, zarośnięty, kulawy człowiek, ostatni król Polski.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę. Musiała się nią zarazić podczas studiów, podczas tych długich rozmów przy wódce i winie, które ciągną się po świt, nie znając umiaru; podczas których powieki się kleją, dialektyka wspina się na wyżyny, których potem nikt nie pamięta, a przedmioty i słowa tracą swe kontury. Wtedy, kiedy młody organizm jest najbardziej osłabiony, choroba znajduje do niego dostęp, przychodzi w odcieniach szarości, niewidzialna i cicha. Zagnieżdża się w ciele i powoli pustoszy wnętrze, przyczynając się przez lata w okolicach wątroby.

Wracam do mieszkania dziadków, które znajduje się w kamienicy przy ulicy S., bo nazwę ulicy też zatarłem, by nikt mnie nie odnalazł. I będą błędzić moi prześladowcy po krakowskich ulicach S., których jest legion, bo cały Kraków jest pocięty ulicami S., a przy jednej z nich stoi kamienica, w której kryje się mieszkanie moich dziadków.

Noga ciągle boli, ale nie mogę już zawrócić. Wracam do mieszkania dziadków. Pożegnałem żonę i tu spędzę resztę życia. Szary, kulawy i nierozpoznany.



Jestem ostatnim królem Polski i choć zostałem namaszczony na monarchę wiele lat temu, to powołanie dojrzewało we mnie długo. Nie byłem gotowy, by przejąć rządy nad moimi rodakami i długo wzbraniałem się przed tą odpowiedzialnością. Bałem się też rządu dusz, jaki niechybnie przypadłby mi w udziale, gdyż jest to odpowiedzialność jeszcze większa. Ci, którzy o tym marzą, nie wiedzą, na jaką śmiałość sobie pozwalają. Tylko człowiek pyszny i pozbawiony zmysłu krytycznego może sądzić, że ma w swoim wnętrzu prawdy godne objawienia; tylko taki człowiek może uważać, że jego idee, pielęgnowane przez lata, godne są, by narzucić je poddanym. Natomiast człowiek naprawdę wielkiego formatu waha się i odrzuca od siebie myśl, by mógł panować nad duszami i umysłami innych, często słabszych i mniej rozgarniętych.

Takie wątpliwości towarzyszyły i mnie; i długo walczyłem ze sobą, mocując się z własnymi demonami, długo dojrzewałem, aby wreszcie odkryć w sobie moc, by wypełnić testament moich przodków. Nie chciałem być królem, broniłem się przed tym i wielokrotnie udawałem, że nie mnie wyznaczono do tej roli. Ale trudno uciec przed przeznaczeniem, choćby człowiek próbował umknąć na koniec świata. W końcu uznałem, że muszę ponieść ten ciężar. I chwila, kiedy zobaczyłem to z całą jasnością, była dla mnie gorzka i słodka zarazem. Znałem już wagę brzemienia. Ale też decyzja moja, suwerenna i dojrzała, była chwilą największej mej wolności. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie czułem się tak wolny jak wtedy. Powiedziałem swoje wewnętrzne „tak” i byłem przez ten moment nie tylko królem Polski, ale i królem świata.

Późniejsze trudy mego rządzenia sprawiły, że chwila owa zbladła w mej pamięci. Ale w momentach największego zwątpienia zawsze do niej wracałem i wtedy to wspomnienie rozjarzało się niczym gwiazda, która wskazuje drogę strudzonemu i zbłąkanemu wędrowcowi.

Postanowiłem porzucić zaszczyty, bo nie ma w moim życiu nic, co by przypominało tamtą chwilę. Pożegnałem żonę, noga ciągle boli.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę. Najpierw pustka zjadła jej wolę, kawałek po kawałku. Zofia coraz bardziej nie chciała; najpierw nie chciała rzeczy drobnych, jak niewielkie przyjemności, których doświadczamy poza domem. Przestała spacerować po mieście, patrzeć na łabędzie, które pływały po Wiśle, przestała odwiedzać sklepy i galerie pełne zakurzonych obrazów. Przestała chcieć chodzić do restauracji, przestała chcieć siadać w ogródkach krakowskich kawiarni przy filiżance espresso.

Wracam do mieszkania dziadków w kamienicy przy ulicy S. i sam już nie wiem, gdzie ona jest, ale nie muszę wiedzieć, bo przecież wspinam się po jej schodach, mozolnie i stopień za stopniem, noga ciągle mnie boli.

Noga ciągle boli, muszę przystanąć na chwilę na półpiętrze. Za mną kilkanaście schodów, niewiele, ale każdy stopień przybliżył mnie do celu. Każdy stopień prowadzi mnie do mieszkania, gdzie przed laty żyli moi dziadkowie, każdy stopień przybliżył mnie do chwili, kiedy ostatecznie ukryję się przed ludźmi. Ta decyzja też wymagała dojrzałości.

Pożegnałem żonę, która umierała na pustkę długo, powoli wycofując się z życia, nie chcąc najpierw rzeczy niekoniecznych, a potem rzeczy niezbędnych; nie chciała jedzenia i picia, potem nie chciała wstawać z łóżka i oddychała bardzo rzadko. Pustka rosła, choć pustka rosnąć nie może i czułem, że ciało Zofii staje się coraz lżejsze i lżejsze, napełnione pustką, chorobą egzotyczną i zarazem swojską.

Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem, by przeżyć resztę życia w spokoju. Bez

tego ciężaru odpowiedzialności, który przecież sam przyjąłem na barki wiele lat temu. Służyłem mojemu narodowi, najlepiej jak umiałem; wymijałem liczne rafy, na które wiatry rzucały moją łódeczkę i przez te wszystkie lata nie troszczyłem się o swoje własne dobro. Moim dobrem było dobro moich poddanych, którzy dzięki moim wysiłkom nie musieli się już troszczyć o Polskę. Budowali swoje domy, kosili trawę w ogródkach, wymieniali meble i sprzęty gospodarstwa domowego na nowe. Ich spokój i niewinność były możliwe dzięki mojej pracy i działaniom. Dyskretnie troszczyłem się o nich, jak rodzic, który przykrywa śpiące dziecko, by nie zmarzło. Oni mogli spać spokojnie; ja musiałem czuwać, gdyż ja byłem ich królem.

A teraz odchodzę, zostawiając Polskę innym ludziom. Może nie będą mieli tyle mądrości co ja, tyle przenikliwości i wrażliwości na los mego narodu. Ale zostawiam mój kraj w dobrym stanie i myślę sobie, że nawet nieudolni włodarze, którzy przyjdą po mnie, nieprędko zepsują to, co ja przez kilkanaście lat budowałem. A w końcu naród zrozumie, jakich ludzi ma sobie wybierać do rządzenia.

Jestem zmęczony.

Pożegnałem żonę, która umierała na pustkę w naszej podmiejskiej posiadłości w Przegorzałach, bo nie chciała umierać w zgiełku wawelskiego dworu. Królowa Zofia z początku wychodziła na ganek opleciony winoroślą, dającą cierpkie owoce. Siadała na wiklinowym fotelu owinięta szlafrokiem, a ja trzymałem ją za rękę, żeby nie zabrał jej podmuch letniego wiatru. A potem nie wychodziła już nigdzie, tylko leżała w naszym łóżu, patrząc na chmury przepływające za oknem.

Wracam do mieszkania moich dziadków. Tu spędzę resztę życia, gdzie będę się cieszył spokojnym losem osoby prywatnej. Nie znają mnie tu, gdyż nie przypominam samego siebie sprzed kilku tygodni, a co dopiero siebie sprzed wielu

lat. Nawet jeśli żyją jeszcze dawni sąsiedzi, nawet jeśli ich pamięć nie jest pomieszana chorobami starości, to nie rozpoznają w tym zmęczonym utykającym człowieku chłopca w krótkich spodenkach, który przed laty biegał po tych samych schodach i bawił się na podwórku. Stałem się nikim i bardzo mnie cieszy ten stan. Może spiszę swoje wspomnienia, gdyż przez te lata nazbierało się tego wiele? Może warto zachować dla potomności zawiłe koleje mego życia, moją walkę, toczone bitwy, zwycięstwa, ale też porażki, których nie oszczędzał mi los? Może warto pokazać cały ten bojowy szlak, który przeszedłem niemal samotnie, skazany na siebie i własne decyzje? Siądę przy biurku dziadka, wyciągnę z szuflady jego wieczne pióro i drobnym pismem zapełnię pożółkłe kartki, których kilka ryz musiało zostać w szafce pod oknem.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę. Po tym, jak już wyciekła z niej wola, która wyparowała porami skóry i wyleciała przez niedomknięte usta, pustka zabrała jej spojrzenie. Patrzyła na mnie niewidzącymi oczami, nie byłem już jej Bartłomiejem, nikim nie byłem, bo nie zatrzymywała na mnie wzroku. Jej spojrzenie było puste, a więc go nie było; na dnie oczu przysiadła szklista nicość.

Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś, choć czuję, że oglądałem je po raz ostatni wieki temu.

Pożegnałem żonę, która umierała na pustkę przez kilka miesięcy, z każdym dniem mniejsza i bardziej pusta, niepodobna do siebie i przezroczysta jak zimowe powietrze. Topniała jak śnieg, a pustka zabierała ją w swe nieprzeniknione otchłanie, gdzie nie ma nic, nawet pustki.

Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś, choć zapewne jest to złudzenie.